Nr. 20. Lwów, dnia 1. lipca 1892 r. **Wydawnictwa Rok XV.**

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo humorystyczno-satyryczno-literackie, illustrowane.

Numer pojedyńczy **20.** ct. w. a — Dodatek osobny dla nieprenumeratorów **10.** ct. w. a.

Goniec i **Iskra** wychodzi: 1., 10., i 20, każdego miesiąca, zaś **dodatek osobny** w każdym miesiacu. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują osobne *bezpłatne premia illustrowane.* Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z **osobnym dodatkiem** i **premiami** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Dodatek osobny** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.** W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych,* lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora

Właściciel i naczelny redaktor: M. D Chamski

Od Wydawnictwa.

Prosimy usilnie szanownych abonentów, aby byli łaskawi odsełać zaległą i bieżącą prenumeratę. Pisywanie kart korespondencyjnych, lub listów o zaległe należytości, jest dla administracji uciążliwe i, co prawda, bardzo nieprzyjemne. Sądzimy też, że ociągania się w zaspakajaniu rachunków z wydawnictwem nie powinno mieć miejsca, choćby dlatego, że podobne zaległości narażają redakcję na stratę, a nie rzadko wyrządzają jej krzywdę. Praca każdej redakcji polskiej, praca nieraz ciężka i kłopotliwa, powinna znaleść poparcie nie we frazesach, lecz w czynach.

Wydawnictwo wymaga licznych i znacznych wydatków, nie odsełanie więc zaległych należytości, naraża nas stratę.

*Wszelkie należytości pieniężne najdogodniej przesełać przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych pod adresem: **Administracja „Gońca i Iskry“ we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.***

Od ręki.

= Wyścigi konne we Lwowie.

Odbyły się, jak się odbywają corocznie z pewną, trochę komiczną pompą i dosyć banalną paradą. Mamy na względzie. i rycerskość, i odwagę, i zręczność. i inne jeszcze bardzo ładne przymioty, ale tego wszystkiego wyścigi konne, ani nie kultywują, ani nie odradzają, ani nie podtrzymują — są, niemal, taką zabawą, jak granie w bilard... O pożytku nie ma nawet co mówić... U nas, w ogóle, chów koni wcale się nie poprawia, a wyścigi, ani w Krakowie, ani we Lwowie z pewnością ręki do tego nie przyłożą, bo, nawet, po temu nie mają sposobności. Niechże powie najżarliwszy „wyścigowiec“, jakim sposobem wyścigi mają zrobić, aby chłopi, mianowicie we wschodniej Galicji nie używali imitacji koni, aby w miastach naszych przy dorożkach i wozach nie widziano szkap, które jednem okiem patrzą na bycłowską górę i, aby po dworach były dzielne fornalki i praktyczne konie do wierzchu. — W tym kierunku nie ma chyba u nas postępu, a jednak, podobno, coś jest podobnego w statutach wyścigowych... W miastach czeskich n. p., konie zaprzężone do zwykłych wozów i dorożek są, po prostu, pyszne, — u nas, marne to wszystko... Wyścigi niech będą — dlaczego nie mają być — ale niech, oprócz przyjemnej zabawy, zwrócą także swoją działalność w stronę, gdzie istotnie, potrzeba przykładu, poparcia, zachęty i kontroli, aby chów koni, w ogóle, wszedł na racjonalniejsze tory i, aby konie były lepsze, a na to się wcale nie zanosi — przeciwnie, dawniej u nas daleko lepsze konie były w kraju, choć wyścigów takich nie było...

= „Skała“.

Z otrzymanego sprawozdania wydziału stowarzyszenia katolickiej młodzieży rękodzielniczej we Lwowie: „Skała“ za rok 1991, przekonywamy się i każdy przekonać się może, iż Stowarzyszenie to rozwija się bardzo pomyślnie i zajęło wpływowe, a bardzo zbawienne stanowisko w obec naszej młodzieży rzemieślniczej. Zrozumioli to nieprzyjaciele nie zgody i harmonji społecznej i w ostatnich czasach przypuścili ataki na „Skałę“ pragnąc ją rozsadzić w ten sposób, aby klinami się w stowarzyszenie wbijać przez wprowadzanie tam członków swojego autoramentu. Plan dosyć zręczny, ale go w tej chwili odgadł wydział „Skały“ i kliny przerzucił przez „Skałę“. Dyrektorem „Skały“, jak wiadomo, jest pan

Także modlitwa.



— Co dzień proszę Boga, żeby go piorun spalił za moją krzywdę!...
— I w zimie?...
— I w zimie także.
— A kiedy w zimie pioruny nie trzaskają.
— Jak Bóg mnie wysłucha, to trzaśnie i w zimie...

Szeremeta, — jest on nietylko dobrym, lecz prawdziwym opiekuńczym duchem „Skały“ — widocznie, położył on sobie za cel życia, aby zacnym i daleko idącym interesom tego stowarzyszenia poświęcić swoje siły, starania i nawet spokój osobisty, bo pracując uczciwie i pożytecznie przez stowarzyszenie dla szerokich celów społeczeństwa, naraża się na pociski tych, którzy, albo z umysłu sieją złe ziarna, albo dali się obałamucić ludziom o przewrotnych i niechrześcijańskich dążnościach.. Zła robota — złe owoce, dobra robota — dobre owoce — więc działalność wydziału „Skały“ zasługuje na publiczne uznanie, bo na każdym kroku dowodzi, że dobrze i gorliwie pracuje dla skołatanego społeczeństwa. W dzisiejszych czasach, gdy nurtują złe prądy, działalność „Skały“ tem jest donioślejsza i pożyteczniejsza, a p. Szeremeta, który, jako dyrektor i mający najbliższą styczność ze stowarzyszonymi i stowarzyszeniem, z natury rzeczy narażony jest osobiście na pociski wrogów — powinien być tylko dumny z tego, bo to dowód, że praca instytucji zacna i wydaje owoce!...

= Powrócił i... odjechał.

W Szawelskiem, w gubernji Kowieńskiej, przed kilku miesiącami stary włościanin D. ciosał sobie kołki przed chatą u drogi, w tem idzie jakiś pan.

— Boże dopomóż! — powiada.

— Bóg zapłać.

Ale ów pan nie idzie dalej, tylko zatrzymawszy się przed starcem, patrzy nań z rozrzewnieniem. Stary zaniechawszy roboty patrzy również.

— Czy mię nie poznajecie? — pyta pan.

— Nie, — odpowiada chłop.

— A no, przypatrzcie mi się.

— Nie, nie znam.

— Eh, ojcze, ojcze! A toć ja wasz syn, Antoni!

— Ty?! —

Dopiero poznaje ojciec syna jedynaka, który przed pięciu laty emigrował był do Ameryki, zostawiwszy starego ojca i żonę z dwojgiem dzieci w biedzie, graniczącej z nędzą. Ponieważ, jednak, była to z jego strony ofiara, nie żadne sobkostwo, Pan Bóg mu błogosławił, bo oto wrócił jak pan, z kieszenią dobrze nabitą, gdyż w niej około 1.000 dol.

Wprawdzie, znikły rumieńce z czerstwej niegdyś twarzy, oczy gdzieś w głąb zapadły, pokaszliwa... no, ale bywa i gorzej: z okrągłej setki jego towarzyszy, którzy wraz z nim wstąpili do odchłani, aby z niej węgli dobywać czterdziestu zmarło.

— Teraz nie opuścisz nas chyba? — woła płacząca z radości żona — co? prawda?

— Nie opuszczę, moja droga — odpowiada również rozczulony emigrant — jeno...

— Jeno co?

— Zabiorę was z sobą. Tu bo, widzisz, nijakiego życia nie ma... Nie bój się — w kopalni pracować już nie będę, stać mię na zakupienie i zagospodarowanie farmy, znajdziem taką coby leżała wedle kościoła, dzieci do szkoły posełać będziemy...

Jak powiedział tak i zrobił, emigrant poszedł po raz drugi, uworząc z sobą matkę i dzieci.

Tylko stary ojciec nie zdecydował się i został na starych śmieciach. Znów ciosa kołki, a wzdycha, bo nie zobaczy już w tem życiu jedynaka... powtarzając, jak w malignie: „powrócił... i odjechał“.

= Katastrofa w Przybramie.

Są wypadki, w obec których męztwo i zimna krew ludzka skłaniają głowy i załamują ręce z uczuciem bezsilnej rozpaczy; obojętność nawet, apatja topnieją i przechodzą w ból bezmierny, albo ogromnym wybuchają płaczem; wypadki, których groza przechodzi wszystko, co najbujniejsza fantazja ludzka najtragiczniejszego sztucznie wytworzyć zdołała; wypadki, w obec których zarozumiałość rozumu ludzkiego kornem czołem w proch pada i małość swoję i niedołęztwo wyznaje.

Taki wypadek zdarzył się obecnie w kopalni srebra w czeskim Przybramie. Kopalnia to jedna z najstarszych, gdyż początki jej sięgają r. 1300, a najbogatsza ze wszystkich srebrodajnych kopalni w całej austrjackiej monarchii. Srebra dostarcza ona wprawdzie rocznie tylko za 45.000 marek, ale tak obfituje w ołów i galman, że skarb ma z niej 2—3 milionów guldenów rocznego dochodu.

W ciągu sześciowiekowego swego istnienia przechodziła ona rozmaite koleje: wojny, wybuchy, pożary przerywały jej działalność i dotykały mniej więcej ciężkiemi klęskami pracującą w niej ludność, ale wszystkie te klęski bledną i do drobiazgowych schodzą rozmiarów w obec katastrofy, jaka się temi dniami w Przybramie spełniła. Dnia 31. maja, przy zmianie południowej, 405 robotników spuściło się do szybu „Marja“, jednego z najgłębszych na całym świecie, gdyż 1.120 metrów w głąb ziemi sięgającego. W miarę, jak się coraz niżej opuszczali, ludzie ci czuli coraz silniejszy swąd, ale otrzaskani z częściowemi pożarami kopalni, które nigdy większej klęski nie pociągały za sobą, nic sobie z tego nie robili. Tymczasem, tym razem nie było co z nieszczęściem żartować. Jeden z niewielu cudownie uratowanych opowiada, że już o wpół do pierwszej nastąpił wypadkiem na trupy dwóch towarzyszów i zdjęty strachem uciekać począł. O godzinie 2. buchnął z otworu szybu olbrzymi słup czarnego dymu i jednocześnie we wszystkie dzwony na gwałt uderzono. Przybiegła straż ogniowa kopalniana i niebawem cztery olbrzymie węże, potężne strumienie wody w głąb szybu rzucać poczęły. Ratunek ten atoli okazał się bezskutecznym; woda zamiast tłumić pożar, zdawała się go jeszcze podsycać. Im więcej jej w piekielną czeluść wpychano, tem kłęby dymu stawały się gęstszymi i czarniejszymi. Wstrzymano zatem działanie sikawek. Trzech odważnych górników spuściło się dla zbadania stanu rzeczy wewnątrz kopalni i niesienia ratunku kolegom; po chwili wyciągnięto miasto ich trzy trupy. Okropny ten przykład nie odstraszył innych; coraz nowi zgłaszali się ochotnicy do niebezpiecznej imprezy. Niektórzy z nich byli szczęśliwsi — udawało im się zebrać w głębi kopalni kilku towarzyszów — nieżywych albo, konających, ale ich samych wydobywano również bez życia, albo śmierci bliskich. Nie przerażało to pozostałych — żywi zastępowali trupów, i wracali — trupami...

Ten cichy, bezpretensjonalny heroizm, poczytujący za rzecz prostą, naturalną, ofiarę z życia jednostek tam, gdzie chodzi o ratunek setek, o ile z jednej strony trąca o szczyty tragiczności, o tyle z drugiej jest wymownym, pocieszającym dowodem, że natura ludzka nie jest jeszcze tak złą i nikczemną, jak się to pesymistom naszym wydaje. Wobec hekatomby przybramskiej rozum się korzy, ale wobec bohaterstwa górników przybramskich serce się dźwiga i wstępuje w pierś nadzieja, że ludzkość, w pośród której tak szlachetne istnieją pierwiastki, ma jeszcze długą i zacną przyszłość przed sobą...

Dopiero gdy 27 bohaterów zginęło, władze miejscowe siłą wzbroniły innym wstępować w ich ślady. Dotąd wydobyto ciał około 400, — jest obawa, że liczba ich się podwoi.

Co się dzieje dokoła tego fatalnego otworu do szybu, który dniem i nocą kilkaset wdów i kilka tysięcy sierot otacza, tego pióro opisać nie jest w stanie. Sceny rozdzierającej serce rozpaczy, następują po sobie w nieprzerwanym ciągu; co chwila któraś z tych nieszczęśliwych istot, chce się rzucić w przepaść, trzeba je gwałtem powstrzymywać. Narzekania, płacz, lament, najtwardsze zdolne są potargać nerwy. Podniętą do żalu są codziennie począwszy od drugiego czerwca, odbywające się pogrzeby. Czasami pochód pogrzebowy składa się ze stu kilkudziesięciu trumien, niesionych na barkach pozostałych przy życiu kolegów. Szkody, jakie skarb poniósł przez tę katastrofę, o ile dotąd wnosić można, wyniosą 2—3 miljonów guldenów. Przyczyną pożaru jak dotąd wiadomo; była nieostrożność, robotnika. Śledztwo, oczywiście, w swoim czasie wytoczone zostanie, ale czy zdoła dojść prawdy, pogrzebanej wraz z życiem setek ludzi w tej strasznej otchłani, to jeszcze wielkie pytanie...

Córka Socjalisty.

Powieść z angielskiego.

(Ciąg dalszy — patrz numer 19).

ROZDZIAŁ XXI.

Wieczorem lord Lashmar chodził niespokojnie po salonie, to biorąc książkę ze stołu i rzucając ją nieotworzoną, to stojąc z rękami włożonemi w kieszenie, patrząc bezmyślnie na wazon kwiatów. Nareszcie, gwar stał mu się tak nieznośnym, że wyszedł i skierował się ku pokojom matki.

Nie widział jej od rana, a i wtedy był u niej tylko na parę minut i zastał ją bardzo zdenerwowaną i osłabioną.

— Być może, że mi się do obiadu polepszy — powiedziała mu — ale, gdy pora obiadowa nadeszła, lady Lashmar nie pojawiła się w salonie.

Lashmar zastał ją siedzącą przy kominku. Lampa paliła się na pobliskim stoliczku i książka leżała na nim, ale milady nie czytała jej. Patrzyła zamyślona w ogień i poruszyła się żywo, usłyszawszy wchodzącego syna.

— I cóż? dowiedziałeś się czego? — spytała na wstępie.

— Nic, a nic. Zniknęła bez śladu. Razem z Nestoriusem szukaliśmy ją po całym Brumm. Policja również niczego się nie dowiedziała.

— Ha! rzekła milady — to musimy pogodzić się z tą myślą, że porzuciła nas na zawsze — ta niewdzięczna dziewczyna.

— A matko, za cóż ona miała nam być wdzięczną? Jakąż życzliwość ty, lub ja, okazaliśmy jej kiedykolwiek?

— Daliśmy jej taki przytułek, jakiegoby nigdzie indziej nie znalazła. Daliśmy jej możność wykształcenia się. Gdyby nie nasza łaska, musiałaby pracować na kawałek chleba w pocie czoła. Musiałaby zostać służącą, lub robotnicą w fabryce.

— Nie byłaby nią nigdy. To pierwszorzędny literacki talent, matko.

I tu lord Lashmar opowiedział matce o korektach, które czytał i o pochwałach tak Nestoriusa, jak sprawozdawcy.

— I cóż ztąd! — rzekła lady Lashmar wyniośle. — Jeżeli tak jest, czyż to nie wynik wykwintnego towarzystwa, z którym się stykała i umysłowych zajęć? Czy myślisz, że w prostej służbie talent jej — skoro ci się podobało tak to nazwać, byłby się rozwinął? Czy myślisz, że okoliczności nie są w stanie zdławić i skrzywić największych talentów? Powiadam ci, że ta dziewczyna ma tysiące powodów do wdzięczności względem nas, a jednak wiedząc, jak jest potrzebną, niezastąpioną prawie dla mnie, chorej kobiety, porzuca mnie bez skrupułu, bez jednego słówka pożegnania i żalu.

— Więc brak ci jej, matko, więc ty ją kochasz? — wykrzyknął Lashmar z błyszczącemi oczyma.

Lady Lashmar po raz pierwszy oderwała wzrok od ognia i popatrzyła bystro na syna.

— To za silne wyrażenie — rzekła. — Przyzwyczajam się do mego otoczenia i tak się stało nawet z nią, bo zdawała się być wierną i użyteczną mi była, ale kochać!..

— Ależ to nie była prosta dziewczyna. Jest szlachetnie urodzoną, odebrała wysokie wykształcenie i natura obdarowała ją szczodrzej, niż setki innych kobiet. O! matko, bądź ludzką, jeżeli możesz. Wiem, że

Stella wkradła ci się do serca, pomimo, żeś jej tam wpuścić nie chciała; wiem, że tęsknisz za nią!

— Potrzebną mi jest, Wiktorze, ale nic więcej.

— Nie, o nie matko — powtórzył Lashmar, klękając i obejmując ją w pół, jak to czynił za dawnych chłopięcych lat, kiedy coś uzyskać pragnął. — Powiedz mi matko, że to jest inne uczucie, że ją lubisz.. lubisz bardzo... bardzo, powiedz to dla mojej miłości.

— Dla twojej miłości, Wiktorze? Cóz to znaczy?...

— Tak, dla mojej miłości, matko. Ta sierota przyjęta tu z łaski, jak przybłęda, jak ją niegdyś nazywałem, jest jedyną kobietą, z jaką pragnąłbym życie podzielić. Być może, iż jej pozyskać nie zdołam, ja, który uczyniłem wszystko, żeby jej się stać nienawistnym, ale w takim razie żadnej innej znać nie chcę. Żyć będę samotny i samotnym zamknę oczy. Nie mogę kochać takiej kobiety, jak lady Carminow, w której łonie żadne szlachetniejsze uczucie nie drgnęło, ani innej zalotnej lalki. O matko! dla czego moje serce dotąd nie drgnęło? Otaczały mnie same istoty bezmyślne lub fałszywe, sztuczne. Jednę tylko kobietę znam prawą, szczerą, niezależną, gardzącą majątkiem i wysoką karjerą, która u jej nóg leżała. Stanęła śmiało do walki z przeciwnemi losami. Tę jednę też czcić i szanować mogę, tę jednę i jedyną kocham...

Lady Lashmar patrzyła na roznamiętnioną twarz syna z największą zgrozą.

— Czy to szaleństwo? — zapytała. — Ale tyś jej nienawidził...

— I mnie się tak zdawało, matko! Bóg widzi, że starałem się ją nienawidzieć, żem wmawiał to w siebie, żem stronił od niej i myśleć o niej nie chciałem. A przecież, pomimo to wszystko, ciągnęło mnie do niej siłą najwyższej potęgi. Widziałem w tem, jakby czary jakieś, ale dziś zaczynam czuć, że to była potęga jej wzniosłego charakteru, wpływ czystej, w walce ze światem nieskalanej duszy. Wierzę, że Opatrzność dla mnie ją przeznaczyła — że brat mój dla mnie ją wychowywał, że wszystko bezwiednie zmierzało do szczęśliwego końca — że ona będzie moją!

— Jeżeli się to stanie, Wiktorze! jeżeli ty, mój syn, dla którego marzyłam o najświetniejszych partjach, tak się ożenisz — ja tego nie przeżyję!..

— O! nie mów tego, matko! Wiem, że będzie to dla ciebie do pewnego stopnia zawodem, wiem, że chciałabyś, aby kufry lashmarskiego skarbu napełniły się złotem Danebrooka, ale gdy ten twój żal raz przeminie, znajdziesz pociechę w prawdziwem, rzeczywistem, niekłamanem szczęściu twego syna.

Nastąpiło długie milczenie. Wiktor wciąż klęczał u kolan matki, obejmując ją błagalnie.

Był przygotowany na gwałtowniejszy wybuch gniewu, na złorzeczenia i uniesienia namiętne, ale ku wielkiemu jego zdziwieniu, lady Lashmar siedziała, jak posąg milcząca, ręką zasłoniwszy oczy i Wiktorowi zdawało się, że płacze...

— Czuję jej brak — odezwała się, nareszcie — tak — czuję go. Ta dziewczyna działała na mnie dziwnie swoim melodyjnym, niskim głosem... Nic tak nie uspakajało moich udręczonych nerwów, jak jej czytanie. Była zawsze bardzo łagodna, niewymownie cierpliwa i o tyle tkliwą, o ile jej na to pozwalałam. Ale słusznie mnie oskarżasz, Wiktorze. Ja jej nigdy nie okazywałam żadnej życzliwości. Lękałam się, aby nie spostrzegła. jak bardzo jest mi potrzebną Ja i ty jesteśmy z twardego kruszcu, Wiktorze, pochodzimy z nieugiętego rodu i nasza duma, nasza pycha czyniła nas zawsze twardymi, jak żelazo. Jakże stłumić w sobie to, co od wieków grało w krwi płynącej nam w żyłach. I pomyśleć, że mój syn miałby uczynić żoną swoją dziewczynę z łaski w moim domu wychowaną! Ludzie pytać będą, kto ona jest — ta twoja wybrana? Cóż im na to odpowiesz?

— Zostawię odpowiedź czasowi i tej, która będzie nosiła moje nazwisko. Jej piękność i talent dostatecznie na to odpowiedzą. Ale ona jeszcze moją nie jest i Bóg wie, gdzie i kiedy ją zobaczę. Prześladuje mnie okropnie przeczucie, które jeszcze spotęgowało się teraz. Czuję, żem szalony i wstydzę się tego stanu umysłu.

— Moje biedne dziecko — rzekła — trzeba ci walczyć z tem nieszczęściem, trzeba być mężnym.

Lashmar przeszedł się parę razy po pokoju w milczeniu, poczem wrócił znów do fotelu matki i stanął patrząc na nią. Lady Lashmar zadumana i głęboko smutna, patrzyła w ogień z wyrazem niewysłowionej melancholji.

— Nie gniewasz się na mnie, matko droga! — rzekł młodzieniec łagodnie.

Była dla niego zawsze najlepszą z matek, czuł to i widok jej smutku uciskał mu serce wyrzutem.

— Nie Wiktorze — odparła zwolna — nie gniewam się na ciebie. Gniewam się tylko na przeznaczenie, które nam życie w tak odmienny sposób od naszych marzeń układa. Pomyśleć, żeby ta dziewczyna, którąśmy oboje ledwo obok siebie znosili, miała zmienić bieg naszych egzystencyj? Cóż ci mam powiedzieć? Jeżeli nie możesz żyć bez niej, mamże ci bronić tego, abyś ją uczynił twą żoną? Jestem głęboko zawiedzioną, głęboko dotkniętą — oto wszystko co dodać mogę. Życie mnie zawiodło w najwyższej nadziei..

— Nie będziesz tego czuła, matko najdroższa, gdy żona moja najtkliwszą córką dla ciebie się stanie. Dobranoc teraz, matko. Zadługo i tak, jak na twoje wątłe siły, męczyłem cię rozmową! Czy mam ci przysłać Barker?

— Barker? — powtórzyła milady z westchnieniem — tak, niech przyjdzie i pomoże mi się położyć. Poczciwa kobieta, ale gdy jestem chora, zawsze mi swą niezgrabnością nerwy drażni.

Nazajutrz lord lędwie się ubrał, poszedł do pokoju matki, ale nie mógł się z nią widzieć. Barker powiedziała mu, że milady bardzo źle noc przepędziła i teraz się spóźnionym snem pokrzepia.

Lady Carminow ukazała się przy pierwszym śniadaniu, co było również rzeczą niezwykłą.

— Wracam do domu zaraz po śniadaniu, lordzie Lashmar — rzekła. — Bardzo mi przykro opuszczać państwa i tyle miłych osób, ale moja matka jest trochę niezdrową i nie mogę jej samą zostawic.

To »trochę niezdrową« brzmiało dosyć niewyraźnie, zwłaszcza, iż o ile Lashmar wiedział, pani Danebrok do wczoraj jeszcze cieszyła się najlepszym apetytem i humorem.

Lady Carminow wyjechała o jedenastej z całą eskortą służby, powozów i kufrów, jak gdyby nie wyjeżdżała do domu, ale do Włoch przynajmniej. Lashmar, któremu jej odjazd zdjął kamień z serca, zrobił się przy odjeździe nadzwyczajnie grzecznym i nadskakiwał jej do ostatniej chwili.

— Jestem pewna, iż się pan nie gniewasz o to, że mnie tu nie będzie — rzekła mu lady Carminow z trochę smutnym uśmiechem.

— Co za myśl! Nie mówiąc już o mnie, biedna moja matka będzie tęsknić za panią. Tak nie wielu osób towarzystwo lubi. Lepiejby było, gdyby się teraz wszyscy rozjechali. Nie wiem, kto ich bawić będzie, kiedy tak urocza zastępczyni pani domu opuszcza nas.

— Dziękuję za komplement. Może też inni pójdą za moim przykładem. Tak, dla matki pana to wielka męka przyjmować gości, ale dla pana gotowa jest ona do wszelkich poświęceń! — powtórzyła Klarysa z naciskiem, patrząc mu w oczy znacząco.

— Tak, matka moja jest bardzo dobra dla mnie — odparł Lashmar poważnie — to też niewymownie mi przykro, ilekroć moje życzenia nie zgadzaja się z jej pragnieniami. Ale życie składa się z samych przeciwieństw.

— Czy jedziesz pan dziś na polowanie, spytała lady Carminow, podczas, gdy Wiktor otulał się sobolowem futrem.

— Nie, muszę jechać do Brumm natychmiast.

— Znowu? można by przypuścić, że masz pan udział w jakiem wielkiem przedsiębiorstwie.

— Chciałbym go mieć — naprzykład w żelaznych fabrykach pani.

— O! nie życz pan sobie tego. Miałbyś tylko kłopot. Odebrałam, właśnie, nieprzyjemny list od mego dyrektora. Utyskuje nad złem usposobieniem robotników i nalega, abym zmieniła cały ten pyszny ustrój, który mój ojciec do takiej doskonałości doprowadził.

— Nic w życiu niezmiennym być nie może, lady Carminow, a my żyjemy, właśnie, w epoce gwałtownych przewrotów. Jeżeli dyrektor pani jest rozsądnym człowiekiem, może by lepiej posłuchać jego rady.

— Tego nigdy nie uczynię — odpowiedziała chłodno piękna pani, a patrzący na nią w tej chwili Lashmar uczuł, że kochając ją nawet, byłby w tej chwili miłość tę z serca wyrzucił. Kobieta twarda i zimna, nigdy kochaną nie będzie, nawet przez twardego i zimnego mężczyznę. On takim być może, ale ona, — nigdy... Kobieta musi przedstawić mężczyźnie ideał dobroci i słodyczy, co on sobie razem nazywa anielskością i, co kocha głównie nawet nieświadomie. Jak męzkie rysy i zbyt silna fizyczność rzadko pociąga mężczyznę, tak i dla duszy kobiecej pragnie delikatności i rysów charakteru na tej delikatności opartych.

Lashmar pojechał zaraz wkrótce do Brumm. Zostawił powóz w hotelu i poszedł błąkać się po mieście. Na policję się już nie udał, bo znękany był i smutny! Postanowił próbować na własną rękę.

Nagle przyszła mu myśl zobaczyć miejsce, które było dawnem mieszkaniem Stelli. Dom zastał po pożarze odbudowanym. Stał on po drugiej stronie miasta, a raczej już za miastem i chcąc tam dojść, musiał przebywać najnędzniejszą dzielnicę, której nie znał wcale.

Rozglądał się tu z jakąś przejmującą i bolesną ciekawością po tem tak nowem dla niego otoczeniu, gdy się raz znalazł w labiryncie długich, wąskich uliczek, ciemnych i brudnych, świadczących aż nadto o nędzy i niedoli swych mieszkańców. Jak ludzie wyżyć tu mogli! A, jednak, tu żyli. kochali się, żenili, dzieci rodziły się i wyrastały na mężczyzn, na kobiety, a wszystko to pracowało tu, walczyło z losem i gorącym znojem na czole szło przez życie, aby odpocząć chyba w grobie...

Lashmar z łatwością odnalazł olbrzymi budynek, z którym wiązała się tragiczna historja pożaru. Stał on zawsze odosobniony na małym placyku z długimi szeregami okien i żelaznych balkonów, co mu nadawało pozór olbrzymiej żelaznej klatki. Lashmar stanął po przeciwnej stronie placu i patrzył na te same smutne koszary, wyobrażając sobie delikatną postać Huberta, jak wspinał się z piętra na piętro, chwytając się delikatnemi rękami żelaznych prętów. Westchnął; czuł, że w jego sercu nie mieszka taka cnota poświęcenia się dla ludzi.

— Szlachetny mój bracie! — myślał Lashmar z rozrzewnieniem — obowiązkiem, moim było przez pamięć na ciebie, być lepszym dla tej sieroty.

Nie spodziewał się zgoła znaleść tu Stelli; policja rozpoczęła swoje poszukiwania od tego, właśnie, budynku i przekonała się, że żadna osobistość, odpowiadająca opisowi dziewczyny zbiegłej z zamku Lashmar nie zamieszkała tutaj. To też Lashmar nie spodziewał się znaleść tu żadnych wskazówek, a przeciez nie ruszał się z miejsca, bo prawdę rzekłszy, nie wiedział gdzie iść; pchało go coś tylko, aby się włóczył po tych nędznych ulicach w jakiejś nieokreślonej nadziei, że się gdzieś na zakręcie spotka nagle ze Stellą.

W tem ujrzał podeszłego już wieku kobietę z koszykiem na ręku, zmierzającą ku bramie. Zbliżył się do niej i zaczepił ją.

— Czy dawno pani tu mieszka?

Matrona zatrzymała się i spojrzała na Lashmara, zdziwiona jego wykwintną postawą i piękną twarzą. Nie często nawet podczas wyborów, tacy piękni panowie zaglądali tutaj.

— Przeszło dwadzieścia lat — odpowiedziała.

— Więc pani pamiętasz, jak się tu paliło?

O! i jak jeszcze! A toż mi się tu cała moja chudoba spaliła, wszystkie sprzęty, w jakie zapomogliśmy się z mężem, pobrawszy się — rzekła i westchnęła z żalu, który jeszcze dziś uczuwała. — Dla młodego, a ubogiego małżeństwa każdy stołek, każda skrzyneczka, to taka rzecz drogocenna, że po stracie tych drogo nabytych bo zapracowanych przedmiotów, żal nie prędko ustępuje z serca i odzywa się z każdem odświeżonem wspomnieniem.

— Słyszałem, że były tu wielkie straty mienia ludzkiego — rzekł Lashmar. — A czy nie znałaś pani przypadkiem niejakiego Bolwooda?

— Bolwooda! który zginął w ogniu! Toż go tu prawie wszyscy znali. Bolwood, o to był nie lada człowiek, mój mąż zawsze mówił, że gdyby nie był tak skończył nieszczęśliwie, nam biedakom by się lepiej działo. A jaki to był rozumny i wspaniały dżentelman, pomimo, że się niedbale nosił; a jak kochał swoje dziecko! Może pan słyszał, że miał córeczkę, która została sierotą. Ale po jego śmierci, tamten lord Lashmar, który już także nie żyje, a który uratował

Za kulisami.



— Cóż to ma znaczyć?..
— To ma znaczyć: „bądź zdrów holenderski śledziu!"

ją z ognia, wziął ją do siebie i wychował, jak paniątko.

— Bolwood musiał mieć dużo przyjaciół w Brumm, pewno i ludzi zamożnych, którzy też byliby się zajęli jego dzieckiem?

— Nie słyszałam nic o tem, to wiem tylko, że się zdala trzymał od wszystkich, zwłaszcza od takich, którzy się dobrze mieli; żeśmy na jednym korytarzu mieszkali, wiedziałam o nim nie jedno.

— Możesz mi pani pokazać, gdzie mieszkał?

— Owszem, proszę pana. Dom odbudowano po pożarze. Ale myśmy się sprowadzili na dół. Już się bałam tak wysoko mieszkać, nie mogłam zapomnieć ognia.

— A pamiętasz pani sierotkę po tym biedaku? Czy to było ładne dziecko? Pamiętasz pani?

Pamiętała i z zajęciem zaczęła opowiadać znajomemu, co przypomnieć sobie mogła.

— Dziewczątko siadywało sobie po całych dniach latem na balkonie — mówiła. — Boldwood dodał jeszcze jedną żelazną poręcz dla bezpieczeństwa i odgrodził swój balkon od innych kratą drucianą, tak, że biedactwo siedziało tak sobie samo, jak ptasze w klatce. Ojciec nie pozwalał jej zadawać się z innemi dziećmi i ona też wielkiej ochoty do bawienia się z niemi mieć nie musiała. Była zawsze bardzo lękliwą, a z początku, gdy się do niej zagadało, odpowiadała jakimś obcym językiem. Miała tam swoje lalki i cacka i bawiła się po całych dniach, ale mnie zawsze żal było patrzeć na nią, jak to chowało się samotnie, jak myszka w jamie swojej.

— Przypatrywała się zawsze pogrzebom, które tędy na cmentarz szły — ciągnęła dalej kobieta, widocznie rada, że się może przed kimś cierpliwym wygadać. — Wtedy bo tu jeszcze tak zabudowane nie było i wszystko co się działo na drodze do cmentarza, widać było, jak na dłoni. Więc też niebożątko siedziało, a siedziało, patrzyło a patrzyło. Nie dorozumiewało się biedactwo, że ojca, którego bardzo kochała, wkrótce na tym cmentarzu położą.

— Daleko to ztąd ten cmentarz? — zapytał Lashmar.

— Nie daleko. Niech się pan weźmie na prawo, to go już i widać.

— Dziękuję pani za objaśnienia. Pójdę na grób Boldwooda, kiedy to był taki dobry człowiek.

— O bardzo dobry, myślal o biedakach, których prócz Boga w niebie nikt nie broni, o których nikt się nie troszczy. Powiadają, że u nas wolność... o! tak... wolno nam umierać z głodu, kto nie chce żyć w biedzie.

Lashmar z łatwością trafił na cmentarz. Było to bardzo rozległe i stare cmentarzysko; w bujnej zieleni drzew i krzaków kryjące swe jednostajne i ubogie pod względem artystycznym nagrobki. ale, że ulice były czysto utrzymane, cienia dużo i powietrze świeże, więc spokojniejsi mieszkańcy miasta, zwłaszcza z klas robotniczych, chętnie chodzili co niedzielę na spacer, wraz ze swemi rodzinami.

Lashmar błąkał się czas jakiś po tym ogrodzie śmierci, zanim natrafił na piękny grobowiec, jakim brat jego uczcił pamięć zmarłego demagoga.

»Pamięci Jonatana Boldwooda, człowieka szlachetnych myśli i wielkiego współczucia dla biednych i uciśnionych, który zginął ratując swe małe dziecię i którego większa część mieszkańców miasta kochała i żałowała.«

»Po owocach ich poznacie je.«

Tak brzmiał napis, jaki Hubert, lord Lashmar, polecił wyryć na grobie zagorzałego republikanina.

Wiktor stał i patrzył na biały kamień smutnym wzrokiem, zmęczonym był fizycznie i moralnie. Znajdzież on kiedy, tę której szukał — znajdzież ją kiedy?

W tem podrażnieniu wszystkich uczuć, w jakiem się znajdował, zdawało mu się, że szuka ją już od wieków, że wyczerpał

wszystkie środki i, że mu już żadna droga nie pozostała. Odtrącił ją od siebie i poszła też... uszła też! Pamiętał, że jej się kazał raz precz wynosić z przed oczu swoich, że ją wypędzał, drzwi jej pokazując; uczyniła też to, gdy tylko wyrosła w siłę po temu... Dumna jej natura, nie zniosła upokorzenia.

Usiadł smutny wśród grobów i zamyślił się, Przyszedł tu, między zmarłych, pchany jakimś niewytłómaczonym instynktem. Nagle drgnął. Obok grobu Boldwooda był drugi świeżo wzniesiony kopczyk, na którym widać jeszcze było ślady łopaty grobarza. Lashmar wpatrzył się weń, a straszna trwoga ściskała mu serce, gdy naraz jakieś zbliżające się kroki rozległy się w cmentarnej ciszy. Młodzieniec odwrócił się i ujrzał wysoką postać, czarną, tę postać dziewczęcą, którą tak często na korytarzach lashmarskiego zamku widywał i której instynkjownie szukał, jak gdyby przeczuwając, że mu ona spókój serca i umysłu zabierze.

Ciąg dalszy nastąpi.

Patentowani.

Choćbyś był geniusz ponad geniusze,
Zginiesz wśród intryg odmętu,
Jeśli ci zacna pani opinja
Nie dała swego patentu.
Oddawna, bowiem, u nas panuje
Obyczaj wielce praktyczny,
Że tu na wielkość trzeba mieć patent
Krajowy, lub zagraniczny.
Naprzykład Ygrek... w blagę odziany,
Na hołdy tłumu łakomy,
Z trójnoga swego z szarej bibuły
Na płytkość świata śle gromy.
Wszędzie się wkręci ze swojem zdaniem,
Wszędzie trzy grosze swe wtyka,
Bo mu oddawna patent wydano
Na przysięgłego krytyka.
Muzyk Iks... długo kąty wycierał,
Za kliki trzymał się klamkę,
Aż mu gdzieś w jakimś paryzkim świstku
Palnęli małą reklamkę.
Wnet się w gazetach echem ozwało,
Że to — nam chluba i sława!..
I odtąd wielkość tę zagraniczną
Podziwia nawet Warszawa.
Zet... się za domem z towarzyszami
W wesołem gronie zabawia,
Nie bacząc na to, że swą rodzinę
Na pastwę nędzy zostawia.
Lecz, że to wszystko sprytnie urządza,
Dobywszy blagi oręża,
Więc mu powszechnie patent przyznano
Zacnego ojca i męża!
Ypsylon... chwalił bankierskie cnoty
I pańskie zrazy i pieczeń,
Więc wnet zasłynął wielkim poetą,
Bez opozycji i przeczeń
Nie brak mu przeto reklam kadzidła
I — co ważniejsza — dochodu...
Maluczko jeszcze, da mu opinja
Patent na... „chlubę narodu".

Staruszek.

Teatr — koncerta — widowiska.

Farsa Henequin'a: *Trzy kapelusze*, przedstawiona u nas po raz pierwszy w zeszłym tygodniu należy do wesołych i przyzwoitych fars francuskich przełożona zresztą, poprawnie na język polski. Wartości literackiej nie posiada żadnej, artystyczną — małą, sceniczną, pod względem ruchu — niezwykłą. Główną rolę komiczną grał bardzo dobrze p. Feldman, a dzielnie mu dopomogła, jego małżonka pani German. Panna Prounówna w roli narzeczonej, odznaczała się dystynkcją, smakiem i swobodę. Dużo werwy i zmysłu aktorskiego okazał p. Kliszewski w roli młodego kochanka. Powierzanie ról komicznych panu Szobertowi, uważamy za niestosowne. Wybornym charaterystycznym lokajem był p. Walewski, fertyczną subretką pani Chmielińska — inni dopełniali harmonijnej całości.



Praktyczny sposób schroniska.



Przemiany podług teorji Darwina.

Nasi „farsiści", czy też „krotochwiliści", tem się głównie odznaczają, że smarują sobie ludzi, których, właściwie. niema wcale na świecie. Tak samo się dzieje i w *Słodkiej truciznie*, krotochwili 3.-aktowej p. Stanisława Graybnera, którą widzieliśmy po raz pierwszy na lwowskiej scenie w dniu 28. czerwca. Niby to ludzie, a jednak, nie człowiek przez nich mówi — takie sobie fikające marjonetki wyprawiające pocieszne grymasy, gdy je autor pociągnie za sznurek... A szkoda. że p. Graybner takich sobie porobił tekturowych pajaców, bo tu i owdzie przebłyskują pewne znamiona talentu — cóż z tego, kiedy się wszystko skończyło na przebłyskach... Musimy też zaznaczyć, że stwarzanie komicznych sytuacyj za pomocą zmiany nazwisk osób działających, co stanowi, właśnie, podstawą komizmu *Słodkiej trucizny*, jest formą tak prymitywną, iż chyba dzieci śmiać się z tego mogą.... *Słodką truciznę* grano u nas bardzo starannie i co było w niej "słodkiego", wyssała dobra gra artystów.... Przedewszystkiem ssali z apetytem: pani German i p. Zboiński i im się należy lwia część pochwał, a dalej dopomagali dzielnie panowie: Walewski, Chmieliński, Szobert, Hierowski i w epizodycznej rolce p. Kiernicki, oraz panie: Cichocka, Praunówna, Chmielińska i Urbanowicz.

Czytamy w *Gazecie Przemyskiej*: „Wypada nam zdać sprawę z trzech przedstawień teatru stanisławowskiego im hr. Fredry pod dyrekcją p. L. Kwiecińskiego. Zdanie to trudne, zwłaszcza, gdy szczupłe ramy naszego pisma zniewalają nas do zwięzłości. Treści zatem utworów odegranych nie podajemy i zastanowimy się tylko nad grą artystów i nad wrażeniem, jakie wywarli.

Otóż przedewszystkiem musimy dyrektorowi p. L Kwiecińskiemu wyrazić uznanie za to, że pojął zadanie sceny prowincjonalnej i w nader krótkim czasie zdziałał już bazdzo wiele. I tak: repertuar teatro stanisławowskiego jest dobrany, bo obejmuje cenne utwory dramatyczne, przedewszystkiem rodzimych autorów, zaś z obcej literatury dramat. tylko utwory takie, które nie goniąc za efektem, posiadają wartość etyczną i sceniczną.

Około sił pierwszorzędnych, jakiemi są oboje państwo Kwiecińscy, artyści w najdodatniejszem tego słowa znaczeniu, których ubytek odczuwa dotkliwie scena lwowska, gdyż nikt ich zastąpić nie potrafi, — pani Szymańska i inne, tudzież pp. Zboiński, Milewski i inni — grupują się siły młode, pełne zapału dla sztuki. Kierują nimi p. L. Kwieciński po mistrzowsku, a młodzi adepci odwdzięczają się swemu nauczycielowi zrozumieniem sumiennem i starannem wykonywaniem ról. Całość tedy towarzystwa p. L. Kwiecińskiego przedstawia się bardzo dobrze i wytrzymuje śmiało porównanie ze sceną krakowską i lwowską, o czem mógł się każdy przekonać, kto był w sobotę na *„Ślubach panieńskich«*, odegranych z prawdziwym artyzmem, w niedzielę na *„Wigilii św. Jędrzeja"* i *„Złotym cielcu"* a w poniedziałek ubawił się wyborną komedja *„Mąż z grzeczności"*."

Recepta.

Panienka młoda.. tak lat szesnaście,
Przychodzi radzić się do doktora:
„Proszę zapisać proszki, lub maście,
Bo jestem bardzo, ach, bardzo chora..."
„Gdzież panią boli?" lekarz zapyta...
„Tu boli w sercu, i tak mi nudno,
A czasem taka tęsknota chwyta,
Że już, doprawdy, wytrzymać trudno!"
Ekskulap puls jej troskliwie bada,
Zmarszczywszy czoło, szkiełek poprawia,
Wreszcie — przy biurku z piórem zasiada,
No... i receptę taką wystawia:
Trzeba do twarzy kompres przykładać
Codzień, a choćby sześć razy dziennie,
A kompres taki musi się składać
Z pary wąsików blond — nieodmiennie..."

Różne sprawy publiczne i prywatne.

* Pan M. D. Chamski, redaktor *Gońca i Iskry*, wyjechał na dłuższy czas do Szczawnicy pozostawiwszy zastępstwo w prowadzeniu całego wydawnictwa.

* Z Krakowa nam donoszą, iż wycieczka do salin wielickich, którą obywatelski komitet opiekuńczy budowy domu akademickiego urządza w dniu 3. lipca zapowiada się świetnie.

Dotychczas rozprzedano już bardzo wiele biletów, a zamówienia z prowincji nadchodzą codziennie.

Komitet dołożył wszelkich starań, aby słynne w całym świecie kopalnie rzęsiście oświetlić, a pobyt Szanownej Publiczności w salinach urozmaicić widokiem ogni sztucznych i uprawiającą w podziw jazdą piekielną.

Na stacjach przygrywać będzie zamówiona muzyka górnicza, a chór akademicki odśpiewa kilka przepysznych utworów.

Wycieczka ta będzie dla gości przyjeżdżających do miejsc kąpielowych miłą rozrywką, tem bardziej, że dochód z niej przeznaczony jest na tak piękny cel, jakim jest budowa schroniska dla ubogiej młodzieży akademickiej.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Wny Gryglaszewski w Minneapolis (Ameryka). Ośm dolarów otrzymaliśmy — prenumerata zapłacona teraz do 1. Października 1892 r.

Wny Gajewski w New-Yorku. Dwa dollary otrzymaliśmy — prenumerata zapłacona do 1-go lipca 1892 r.

Autorowie wierszy: „Do matki" i „Drobne listki" utwory panów drukowane nie będą.

N. n. ze Lwowa. Gdy się śledztwo toczy, nie można.

Dzierlatka. Nie dowcipne, choćby mogło być dowcipne.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dla prenumeratorów: **Dodatek Czerwcowy.**

Nadesłane.

Zwraca się niniejszem uwagę P. T. Publiczności, na jednę z większych fabryk krajowych pana Michała Dornwalda w Przemyślu, który zatrudnia przy wyrobie **wszelkich maszyn i narzędzi rolniczych 100 ludzi.** Dając uczciwy zarobek tylu pracownikom krajowym, zasługuje niewątpliwie p. M. Dornwald na uznanie i szczere poparcie Szan. P. T. właścicieli dóbr i gospodarzy, którzy wszelkie nowe maszyny i narzędzia rolnicze, starannie wykonane, po najumiarkowańszych cenach nabyć mogą, a tym sposobem przyczynią się do szybszego rozwoju przemysłu krajowego. (5658 4—1).

Najróżnorodniejsze wyśmienite pierniki z parowej fabryki pani **H. Czyńskiej w Jarosławiu**, przyjęte i uznane zostały za najlepsze m całym kraju i po za granicami tegoż. Pani Czyńska oprócz już znanych P. T. Publiczności królewskich, cesarskich pierników, biszkoktów, sucharków i innych smakołyków piernikarskich, wprowadziła *nowość* w przepysznym smaku piernika *„Sokół"*, to też piernik sokolski powinien znaleść miłe przyjęcie u naszych dzielnych Sokołów. (5659 8—1).

Restauracja pp. **Zamkiewicza i Niewiadomskiego w Złoczowie**, prowadzona uczciwie i sumiennie przez jej właścicieli, zyskuje sobie coraz większe uznanie. Właściciele postawili zakład na pierwszorzędnej stopie, a prowadząc go z wzorową czystością mają to zadowolnienie, że goście jest u nich zawsze pełno, gdyż kuchnia jest smaczna i zdrowa. Przy lokalu zimowym znajduje się ogródek, w którym podczas letnich upałów można się posilić na świeżem powietrzu. (5651—3—2).

Na ogłoszenie firmy: **P. Ladstätter i Synowie** (przedtem Józefa Tegischera), zwraca się bliższą uwagę P. T. Publiczności. Jest to magazyn kapeluszy słomkowych i filcowych najobficiej zaopatrzony w kapelusze najnowszych fasonów z najlepszego materjału. Wybór ogromny. Ceny przystępne. (5626-5-3)

Zwraca się uwagę P. T. Publiczności na urządzoną z komfortem i wszelkiemi wygodami kawiarnię p. Piotra Porzyckiego, w Rynku w Krakowie, zaopatrzoną w wiele dzienników, a przy szklance wybornej kawy, nie jednemu przyjemnie czas zbiegnie, kto do tej kawiarni zagości. Przytem dodać należy, że ceny są bardzo umiarkowane, służba uprzejma i czystość wzorowa. (5657 3—1).

Handel bławatny Stanisława Barko w Jaśle, zaopatrzony w wielki wybór materyj wełnianych, aksamitnych, płótna tak krajowe, jak i zagraniczne, szyrtingi, pończochy i t. d. jest w stanie zadowolnić najwybredniejsze wymagania. Nieposzlakowana rzetelność, grzeczna obsługa, powinny skłonić nasze panie miejscowe i z okolicy, aby tylko w tym handlu sprawunki swoje załatwiały. (5640-6-2).

Z Trembowli.

Z różnych stron dochodzą nas wiadomości, że hotel p. **Markusa Stajnika w Trembowli** urządzony został z ogromną wygodą, komfortem i prawdziwie po europejsku. Służba zorganizowana jest wybornie, a znajdująca się przy hotelu restauracja, odznacza się smaczną i zdrową kuchnią. Pan Markus Stajnik, jako uczciwy i rzetelny przemysłowiec, z całą sumiennością wziął się do interesu, który też rozwija się szybko i przynosi uczciwe zyski. (5651—6—2).

Uniw. med.

Dr. Eugeniusz Kozierowski

po dwuletnim pobycie w szpitalach krajowych i zagranicznych osiedlił się we Lwowie i ordynuje **w chorobach przewodu pokarmowego** (żołądka, jelit i wątroby) od 3—5 pop., dla ubogich od 9—10 rano. Ul. Ossolińskich l. 15. Laboratorjum konieczne dla tego działu chorób, zostało urządzone w tym samym domu w ubikacjach nr. 3. (5646—4—2).

Dobrą opinję robi sobie człowiek, poświęcając swój spokój, a w części i grosz dla biednych sierot, opiekując się niemi. Ale, żeby opiekować się sierotami i zająć się ich przyszłością, tak jak to czyni pan **Teofil Teichman, właściciel restauracji we Lwowie**, przy ul. Teatralnej l. 16. rzadko się może znajdzie drugi taki zacny dobry człowiek. Pan Teofil Teichman powodując się miłością bliźniego i zacnością obywatela, niemniej, tylko **50 sierot** stał się opiekunem, a z tych kilka wydając za mąż, stosunkowo do swoich funduszów wyposażał.

Magistrat miasta Lwowa, dowiedziawszy się o tak dobrych uczynkach, ofiarował panu Teichmanowi arkusz propinacyjny bezpłatnie. A zatem każdy chcący się posilić zdrowemi potrawami, lub napić się szklankę piwa, odpocząć, przeczytać gazetkę, powinien spieszyć **do restauracji pana Teichmana na ul. Teatralną l. 16**, gdzie będzie, jak najlepiej obsłużony i, jak najmniej wyda za spożyte potrawy i napoje. (5624—3—2)

Z Krakowa piszą nam:

W Sukiennicach otwarty został nowy skład sukna, kortów i kangarnów p. Franciszka Czużydło, którego brat, ś. p. Józef Czużydło zapisał przed paru laty w testamencie 40.000 złr. na rzecz krak. Akademji umiejętności — sam zaś właściciel nowego składu sukna i kortów, przybyły do nas z Berna morawskiego, aby na ojczystej ziemi pracować, na tem większe zasługuje poparcie, że jestto jeden z największych i najlepiej zaopatrzonych składów. W interesie więc samej publiczności leży, aby u dobrego źródła zaopatrywała swe potrzeby. 5610—4—4.

Hotel pod „Czarnym Orłem" Gustawa Fröhlicha w Białej, istniejący od lat 12, urządzony jest z wszelkiemi wygodami i komfortem, służba uprzejma, ceny zaś bardzo umiarkowane. Przy tej sposobności nadmieniam, że w hotelu moim znajduje się znakomita restauracja z bilardem, która zaopatrzona jest w najlepsze napoje, a jedzenie przyżądzane smacznie i zdrowo, przytem bardzo umiarkowane ceny. Staraniem mojem jest, aby goście w moim hotelu i restauracji byli dobrze obsłużeni i abym nadal zasłużył sobie na ich uznanie. (5638-6-2) Z poważaniem **G. Fröhlich.**

Hotel Polakiewicza w Samborze, urządzony z wielkim komfortem i wszelkiemi wygodami, posiada doskonałą restaurację, gdzie można w każdej porze smacznie, czysto przyrządzonemi, a zdrowemi potrawami posilić się. Restauracja w tymże hotelu ma zawsze wielki zapas różnorodnych win, wyśmienite piwa i inne napoje, a ceny za wszystko najprzystępniej są obliczane. Służba czysta i bardzo przyzwoita. P. T. Publiczność przejeżdżając przez Sambor, a zatrzymując się chwilowo, raczy skorzystać z niniejszej wiadomości. (5637-6-2)

Zamknięcie rachunków Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie

w dziale ubezpieczeń na życie

za rok XXII. t. j. za czas od 1. Stycznia do 31. Grudnia 1891 r.

Rachunek zysków i strat z ubezpieczeń kapitałów i rent.

	Przychód:	Złr.	ct.
1	Przeniesienie rezerw i premij z r. 1890	4,876.047	50
2	„ funduszu na nieuregulowane szkody z r. 1890	42.275	—
3	„ „ „ dywidendę z r. 1890	56.148	90
4	„ „ „ różnicę kursu z r. 1890	180.000	—
5	Zebrane premie i wpisowe z polic	809.028	40
6	Procenta, czynsze z nieruchomości itd.	258.935	81
		6,222.435	61

	Rozchód:	Złr.	ct
1	Premie kontrasekuracyjne	47.649	72
2	Wypłacone szkody, renty; zwrot premij i fundusz na szkody nieuregulowane	342.598	63
3	Wykup polic	52.715	53
4	Rezerwy i przeniesienia premij od kapitałów i rent	5,312.042	64
5	Koszta administracji	139 580	14
6	Należytości rządowe i stemple	12.358	94
7	Wypłacona dywidenda i fundusz na niewypłaconą dywidendę	55.042	38
8	Fundusz emerytalny urzędników	800	—
9	Strata na kursie rubla i papierów publicznych i fundusz na różnicę kursu	2.429	43
10	Fundusz amortyzacji domów	181.709	17
	Saldo zysk	75.509	03
		6,222.435	61

	Podział zysku:	Złr.	ct.
1	20% w myśl statutu na fundusz rezerwowy	15.101	80
2	Na dywidendę Członkom pierwszych lat ośmnastu	49.164	45
3	Na rezerwę zysków ~~i rezerwę specjalną 14% od~~ ubezpieczeń pośmiertnych a 6% dla ubezpieczeń dożywotnich	11.242	78
		75.509	03

Stan majątku działu ubezpieczeń na życie.

	Stan czynny:	Złr.	ct.
1	Zapas gotówki na dniu 31. Grudnia 1891	11.399	63
2	Rozporządzalne należytości w instytucjach kredytowych	124 540	53
3	**Papiery wartościowe według kursu z dnia 31. Grudnia 1891 r.**	1,832.930	67
4	Wartość nieruchomości	1,944.000	—
5	Pożyczki	2,299.450	12
6	Różni debitorowie	363.892	83*
7	Wartość urządzenia	500	—
8	Rezerwa premij u Tow. reasek.	259 136	67
		6,835.850	45

	Stan bierny:	Złr.	ct.
1	Rezerwy i przeniesienia premij zabezpieczonych kapitałów i rent	5,571.179	31
2	Fundusz na nieuregulowane szkody	49.900	—
3	Fundusz na dywidendę	8.214	08
4	Fundusz na różnicę kursu	66.000	—
5	Fundusz rezerwowy i inne fundusze	676.938	43
6	Różni kredytorowie	86.122	84
7	Obciążenie dóbr ziemskich	301.986	76
	Saldo zysk	75.509	03
		6,835.850	45

*) Do 15. Maja 1892 r. spłacono przeszło ²/₃ części zaległości.

Kraków, dnia 1. Stycznia 1892 r

Dyrekcja Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie.

Z. Słonecki. *M. Łepkowski.* *H. Kieszkowski.*

Naczelnik działu ubezpieczeń na życie: *Cz. Kieszkowski.*

W dowód zgodności z księgami

Członkowie Rady nadzorczej:

J. hr. Męciński. *S. Henzel.* *Dr. M. Straszewski.* *Z. Obertyński.* *St. Żaba.*

jako Komisja kontrolująca.

(Dalszy ciąg bilansów tego Towarzystwa w następnym numerze)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.
Illustracje odbite w litografji A. Plutera we Lwowie, ulica Kopernika l. 17

Lwów — 1892.

Dodatek Czerwcowy

Dla prenumeratorów „GOŃCA i ISKRY“.

Dla nieprenumeratorów cena 10 centów.

Perły i djamenty.

W rzadkiej wielkości perłach i drogich kamieniach spoczywają nieraz olbrzymie bogactwa. Mniej więcej wiadomo, w czyjem posiadaniu znajdują się okazy, których wartość bywa często trudną do ocenienia. Największą i najpiękniejszą perłę posiada szach perski. Jeden z jego poprzedników nabył ten klejnot w XVII. wieku od podróżnika Tevernier.

Iman Muskatu ma perłę prawie zupełnie przezroczystą, której wartość przedstawia sumę 800.000 franków. W posiadaniu księżnej Jusupów znajduje się perła, którą Grzegorz de Calais w 1620 r. sprzedał królowi hiszpańskiemu Filipowi IV. za 80.000 dukatów. Obecnie cenią ją 900.000 franków. Papież Leon XIII. po jednym ze swych poprzedników na stolicy apostolskiej posiada perłę, wartującą około 400.000 franków.

Obok tych pojedyńczych sztuk, z których każda stanowi unikat, wymienić należy naszyjnik z pereł cesarzowej Fryderykowej. Naszyjnik ten, złożony z 32 pereł, cenią na 600.000 franków. Matka cesarzowej, królowa Wiktorja, posiada największy djament na świecie: Koh-i-nor, oceniony na 50 milionów franków i kolię cudnej piękności pereł różowych. Oba te klejnoty niedawno były wystawione na widok publiczny w Wieży Londyńskiej.

Kolia baronowej Gustawowej Rotszyld, złożona z pięciu sznurów pereł, warta jest milion franków, kolia Alfonsowej Rotszyld, milion dwieście tysięcy franków. Obie te damy nieustanie powiększają swe kolie, dokupując pojedyńcze perły. Jubilerzy mają polecenie przedstawiania każdej rzadkiej sztuki, którą zazwyczaj baronowe kupują, nie targując się wcale o cenę.

Siostra pani Thiers — panna Dosne, zbierając pojedyńcze perły przez lat trzydzieści, ma obecnie naszyjnik, przedstawiający wartość 400.000 franków.

Po wojnie francusko-pruskiej, pani Lebreton sprzedała pani de Païva na rachunek cesarzowej Eugenii kolie pereł białych, dobieranych osobiście przez cesarzową. Niektóre sztuki posiadają małe wady i z tego powodu za kolię tą zapłacono tylko 400.000 franków. Obecnie nie wiadomo w czyich rękach znajduje się klejnot eks-cesarzowej.

Cesarzowa austrjacka posiada najpiękniejsze na świecie perły czarne, których wartości trudno określić nawet w przybliżeniu. Należy dodać, że im częściej perły są noszone i przylegają do ciała, o tyle nabierają więcej blasku i barwy. Perły różowe są mniej cenione, natomiast czarne, o ile nie posiadają plam i narośli, należą do rzadkości.

O sławnych djamentach jak: *Regent*, *Koh-i-noor*, *Sancy* słyszeli wszyscy. Regent od 1887 r. znajduje się w Luwrze, gdzie podziwiany jest przez wszystkich. Kamień ten należy do najpiękniejszych. Jego wartość: 3,125 000 franków. Sancy, wartujący 500.000 franków, należał do księżnej Demidoff Obecnie zawędrował do Bombaju, gdzie znajduje się w rękach sir Lamsetjee Ieejebhoy.

Djament *Orłow*, nabyty został w przeszłem stuleciu za 3,500.000 franków do skarbca petersburgskiego. Sprzedał go niejaki Lafras, który, oprócz wymienionej powyżej sumy, obdarowany został szlachectwem.

Skarbiec korony austrjackiej chlubi się *Florintinem*, cenionym na 2,600.000 franków. Pewien rajah indyjski posiada djament nazwany „Gwiazdą południa“, który nabył za cztery miliony franków. Rajah Golcondy ma w swym zbiorze klejnotów djament *Nizam*, wartości pięć i pół miliona franków. Golconda jest także ojczyzną *Regenta*, którego pierwotnie kupił Pitt. *Piggot*, wartujący 750.000 fr., przywieziony został z Indyi do Anglii przez hrabiego, który dał mu swe nazwisko. W 1801 r. puszczono go na loterję. Dziś niewiadomo gdzie się znajduje. *Pasza* kosztował wice-króla Egiptu 700.000 franków. Piękny ten kamień waży 49 karatów.

Szczęśliwym posiadaczem *Wielkiego Mongoła* jest szach perski, który dał mu nazwę Deriaï-Noor, co znaczy: ocean światła. Kamień ten nie ma ceny. Lord Westminster ma djament *Nassah*, ważący 82 karaty, za który zapłacił 700.000 fr. Obecnie cenią go 800.000 fr.

Największy djament na świecie znajduje się w Matam na wyspie Borneo, gdzie zazdrośnie ukrywa go tamtejszy rajah. Rząd batawijski, któremu pewnego dnia przyszła fantazja nabyć go, ofiarował dwa statki wojenne, doskonale uzbrojone, i w dodatku 800.000 franków. Właściciel klejnotu propozycję odrzucił.

Do najcenniejszych klejnotów w skarbcu króla portugalskiego, Karola, należy piękny djament, ważący 205 karatów. Cesarzowa Eugenia nosiła niegdyś grzebień w kształcie róży, oraz girlandę z liści i owoców, zrobione z rzadkiej piękności brylantów. Przy świetle, klejnoty te rzucały blask prawdziwie czarujący. Na wyprzedaży brylantów ze skarbca koronnego Francji, pewna amerykanka nabyła za 183.000 franków kolję, złożoną z czterech festonów, z których każdy posiadał pięć guzów brylantowych Prześliczne te kamienie osadzone były w srebrze.

We Francji najwięcej dziś są poszukiwane perły i rubiny. Co do brylantów, obecnie nastała moda ozdabiania nimi węzłów ze wstążek, zawiązywanych wokoło szyi.

We Francji, z posiadania najpiękniejszych brylantów chlubi się żona znanego milionera amerykańskiego, p. Makaya. Jej kolia, długości dwóch metrów, złożona jest z kamieni, wybornie dobranych i najczystszej wody. Kosztowała naturalnie miliony...

Przy sposobności słówko jeszcze o kamieniach mniej wprawdzie cennych, których, mimo to, prawdziwie piękne okazy należą do rzadkości. Do nich należą turkusy. Maharadża z Uplesingu, dawny król Lahory, obecnie w Paryżu pobierający pensję od rządu angielskiego, posiada największy ze znanych dotychczas turkusów. Kamień ten, dość płaski, ma siedm centymetrów długości i pięć szerokości.

Jeden z synów Abdel-Kadera odziedziczył po ojcu turkus z wyrytą na nim legendą Mahometa. Abd-el-Kader, będąc więźniem, uzyskał pozwolenie noszenia przy sobie tego klejnotu, za który ofiarowano mu cenę dość wysoką. W Europie znaną amatorką turkusów jest pani Bourdetts Coutts. Najmniejsze turkusy z jej zbioru warte są po 10.000 fr. sztuka. Posiada ona także dwa szafiry, ocenione na 750.000 franków! W bogatych kolekcjach muzeum paryskiego znajduje się szafir, ważący 133 karaty. Kamień pochodzi z Bengalu, gdzie znalazł go pewien robotnik. Sprowadzony do Europy nabyty został przez rodzinę Raspoli w Rzymie, później przeszedł na własność pewnego niemieckiego księcia, od którego kupił go jubiler francuski, Perret, za 170.000 fr.

Wiersz z nawiasami.

Przyszła znów wiosna
(Wszak co rok przychodzi)
Piękna, jak anioł
(Tak mówią poeci)
Więc do ogrodu
(Każdy z was tam chodzi)
Spieszą dorośli
(I z matkami dzieci).
Że lubię księżyc
(Mam małego bzika)
I ja tam szedłem
(Djabli wiedzą po co)
Szumiały drzewa
(Marna to muzyka)
I było ciemno
(Tak jak zwykle nocą).

I było ciemno
(Jużem raz powiedział),
A mnie zaś smutno
(Tak mawiał Słowacki)
Chciałbym się kochać
(Snać bies we mnie siedział)
Pisać poemat
(Chyba, że pod placki).
Aż tu na ławce
(Wzrok mam nieco krótki)
Widzę kobietę
(Chyba anielicę)
W jasnej fiszutce
(Tak się zwą zarzutki)
A oczy płoną
(Jak najlepsze świece).

Więc siadam obok
(Uwielbiam kobietki),
Wszczynam rozmowę
(A blaguję z wprawą)
Ona się czuli
(Sądzę, żem nie brzydki)
Ja się przysuwam
(Powiedzcie tu: brawo),
Tuli się do mnie
(O! gorąca dama)
Ja drżę z wruszenia
(I was dreszcz przenika)

Wtem ona wstaje
(Blisko była brama),
Wstaje i znika
(Jak duch Banka znika).

I znikła dama
(Niech ją piorun spali),
Z nią znikł zegarek
(Wczoraj wykupiony),
Kabza z centami
(Zaliczkę mi dali)
I jestem goły
(Recte „ogolony").
O! zgiń kobieto!
(Tak mówią bluźnierce)
O! zgińcie wszystkie!
(Od księżn do kucharek)
Chciałem ci skarb dać
(Niby swoje serce)
A ty...
(A ona wolała zegarek).

Historja o Dawidzie i Goliacie.

Opowiadanie przez

Berka Guzika.

Było to na trakcie, prowadzącym do Kalisza. Na mój wózek przysiadł się Berek Guzik, ponieważ Berek wogóle miał taki system podróżowania. Jak mu wypadło puścić się drogą, to nie kłopotał się wcale o furmankę — wychodził pieszo za miasto i szedł, czekając, czy nie będzie mógł przysiąść się do kogo. Jest to system taki dobry, jak inne, a przytem niekosztowny. Zresztą, względnie do swojej sytuacji majątkowej, myślący ten człowiek nie mógł podróżować ani własnym ekwipażem, ani ekstrapocztą — furmanów żydowskich, jako ludzi grubych i nieuczonych, nie lubił i wszelkich z nimi stosunków unikał. Wolał jeździć na przysiadanego. Przytem jadąc na cudzym wózku, czuł się w obowiązku uprzyjemniać właścicielowi konia podróż, miłą i pouczającą rozmową. Pod tym względem był niezmordowany, — mógł mówić kilka godzin z rzędu, bez wytchnienia...

Wybór przedmiotu do rozmowy był także mu obojętny. Chętnie mówił o polityce, o handlu, o różnych ploteczkach z okolicy, o panu burmistrzu i o sekretarzu, o czem kto chciał. Najbardziej wszakże przypadała mu do gustu rozmowa o takich przedmiotach, które nastręczały mu sposobność do popisywania się głęboką uczonością. Wtedy olśniewał słuchacza głębią erudycji.

A jaka to była erudycja! Istny groch z kapustą, prawdziwy bigos! Legendy, podania, przepisy wyznaniowe, imiona proroków, dawnych uczonych i rabinów współczesnych, przygody, zabobony, gusła najszczególniejsze — wszystko było w tej głowie. Berek zaś nosił się wysoko z dumą, że takie skarby w niej posiada. Nie miał szczęścia do handlu, nie miał majątku, ale uczciwość miał i honory.

Pytałem go, jakie mianowicie honory?

Aśmiechnął się i brodę pogładził.

— Pan się na tem nie zna — mówił — do tego trzeba mieć inną głowę.

Wytłómaczyłem mu, że nie mogę swej głowy na inną zamienić, postaram się natężyć wszystkie siły umysłu, aby zrozumieć chociaż w części znaczenie tych splendorów, jakie na Berka spływają.

— Niech pan nie myśli — mówił — że ja chodzę do tej wielkiej szkoły, gdzie dużo żydów się zbiera. Nie, na co mi to? Tam chodzą meremorejne i wszystkie w wielkiem Sanabenjem, — ja między nimi byłbym ostatni. A na co ja mam być ostatnim? My mamy małą krawiecką bóżniczkę — tam jestem pierwszy! Do mnie schodzą się przyjaciele w szabas, albo święto, my sobie śpiewamy. Ja jestem znawcą na koszerne wino — ja byłem dwa razy u rabina — ja mam różne sposoby na djabła... No, czy to jeszcze mało honoru? A prócz tego, ja umiem czytać.

— I naturalnie, Berek rozumie wszystko, co czyta? — zapytałem.

— Ha! ha! co pan dobrodziej powiada! Kto może rozumieć wszystko, co w książkach jest? Mało kto. Chyba wielkie rabiny, którzy mają taki sposób od Pana Boga, ale prosty człowiek dobrze, że choć czyta.

— Cóż za przyjemność w czytaniu, jeżeli się nie rozumie tego, co napisane?

— Aj, aj! Jakie to między państwem są zabobony! Ja nie umiem panu opowiedzieć dobrze, jaki jest w tem czytaniu smak — ale to jest wielki smak. Wierz mi pan, ja czytałem wczoraj i jeszcze mam pełną gębę tego smaku!

— A o czem Berek czytał?

— Jakto o czem? O czem można czytać w nabożnej książce? — o nabożnych rzeczach!

— Ale przecież! Czy Berek czytał o jakim proroku, czy o historji dawnej?

— Na co mam panu to opowiadać? Ja czytałem — niech będzie dość na tem, że czytałem.

— Więc nie powiesz?

— Ny, co ja mam powiedzieć? Nie ka żda rzecz da się opowiedzieć, nie każda da się powtórzyć i nie z każdym człowiekiem pasuje o takim interesie mówić. Państwo trzymają się swojego zakonu, my żydy swojego. Na co jeden drugiemu ma zaglądać do głowy?

— No, mój Berku! bardzo się zapędziłeś Przecież u nas nawet małe dzieci uczą się starego zakonu: o stworzeniu świata, o Locie, o Egipcie, o patryjarchach, królach żydowskich i prorokach

— Ja wiem, ja słucham o tem, ale z przeproszeniem pana, to nie jest żydowska nauka i zawsze w niej jakiś feler musi być.

— Najmniejszego.

— Co o tem gadać, niech każdy swoje trzyma.

— Przecież u nas nie uczą, że Goliot zabił Dawida, ale na odwrót.

— Pan zna tę historję?

— Powiadam ci, że nawet małe dzieci ją znają.

— Aj, aj? to była kimedja! Powiadają, że żydy nie są odważne — no, ale kto zabił tego grubiana? Kto jemu głowę urżnął? Niechby się kto inny poszedł z nim próbować. Ja to wszystko wiem, dobrze wiem, tak jakbym sam przytem był!

To rzekłszy, Berek pogładził się po brodzie i oczy błysnęły mu radością, że mógł się wiadomościami swemi popisać.

Koń zwolnił biegu, bo droga szła pod górę, turkot kół nie przeszkadzał rozmowie.

— A pan wie, jak to naprawdę było? — zapytał Berek, — pan wie, jak się ta cała historja zrobiła? Pewnie pan nie wie, ale ja panu opowiem. Ja wiem, że pan lubi słuchać o żydowskich interesach, ja to wiem...

— Owszem, bardzo lubię.

— Pewnie pan wie i to, że żydy dawniej nie byli takie biedne kapcany, jak dzisiaj, ale mieli żydowskiego króla, mieli żydowskie urzędniki, żydowskie wojsko... a jakie wojsko!... ha! ha! Same gwardje, z pikiem, z pałaszem, z bębnem, armatem, jak potrzebuje być wielkie wojsko! Byli jednorały i zwyczajne proste żołnierze, jak się należy. Oni ciągle wojowali, a najbardziej z Filistjanem. Bardzo paskudny naród był te Filistjany, a między nimi zdybał się jeden bardzo wielki, bardzo mocny, po prostu cham, parobek nieuczony, grubian!

— Goliat!

— To cały rozbójnik był. On ciągle chodził koło naszego wojska i szukał zaczepki, nawet trochę pijany był i lubił zrobić awanturę, ale nasz król nie kazał z nim robić żadnej awantury, bo król żałował wojska psuć — a taki cham mógł któremu wojskowi rękę złamać. On wymyślał, on krzyczał, on zrobił zaczepkę, — ale nasze siedzieli sobie cicho, nie zważali. Nareszcie zdybał się jeden młodziak — może miał całkiem szesnaście lat, nawet nie zaręczony jeszcze — i myśli pan, że jaka osoba?! Wcale nie osoba! Prosty pastuszek, taki, co kozy pasł. On powiedział: „Puśćcie mnie do tego grubiana! ja jemu pokażę sztukę!" Wojsko śmiali się, — »aj, waj! — powiedzieli — chyba ty śmierci szukasz, Dawidku!« A on taki zawzięty był, że zaraz chciał lecieć... ale bez pozwoleństwa od króla jemu nie dali. Trzeba było do króla iść.

— I poszedł?

— Co pan mówi? U nas, jak się do burmistrza idzie, to też zaraz nie wpuszczą, tylko trzeba czekać — a tu od króla: I kto chciał z królem gadać? — prosty pastuch! To akuratnie osoba do gadania z królem! — Ale ten mały Dawidek (kto wtenczas mógł wiedzieć, że to będzie kiedyś wielki Dawid?), prosił jednego żydka, takiego po prostu faktora, żeby on królowi powiedział o tym interesie. Faktor, jak wiadomo faktor — to wszędzie wlezie. On nie szedł na pokoje, tylko wlazł tyłem, przez kuchnię — no, dość, że zobaczył króla i powiedział. Król, jak to usłyszał, to za głowę się złapał. — »Ja nie chcę! — powiedział — ja nie potrzebuję nawet o tem słuchać!« Faktor przeczekał, aż się król wysapał od złości i zaczął znowu perswadować. Powiada: »tak i tak dzieciak młody jest, ale kiedy się podejmuje, to dla czego nie spróbować? Przecież nikt nie przymusza go, on idzie ze swojej własnej woli. A zresztą, co wielmożny król do tego interesu dołoży?«

— Tak powiedział?

— Oj, oj! — ja wiem, ja wiem, tak jakbym sam przy tem był. Proszę pana, czego faktor nie przetłómaczy? on wszystko przetłómaczy, on od tego jest. Dość, że król się zgodził. »Ny — powiada — niech on idzie«. Kazał mu dać pałaszów, pików, wszystkiego co do wojowania trzeba, ale pastuszek nie chciał. »Na co, powiada, ja mam dźwigać taki ciężar? — ja mam na niego lepszy sposób«. — On wziął kamień, porządny kawałek kamień, zaczaił się na tego grubiana — i jak na niego rzucił! — aj waj! ten cały cham, ten ordynarny chłop, jak długi był, tak się przewrócił! Wtenczas ten mały Dawidek wyskoczył z za drzewa, siadł grubianowi na plecy i zaczął krzyczeć gwałt! Zaraz przylecieli wojaki, starszyzna, jednorały żydowskie, urżnęli Goliatowi wielki łeb i zanieśli do króla. Było krzyk, gwałt, muzykanty grali, jak na wielkiem weselu i ten Dawidek, ten maleńki Dawidek, ten pastuszek, później sam królem został. Tak jemu Pan Bóg dał. Aj było, było na świecie smak? honor był, wojsko było! Dziś co jest? dziś żydy grzeszne są przeciwko Pana Boga — bo mają za to cymes. *Klemens Junosza.*

Czarodziej z Cucugnanu.

Bajka.

Poczciwy doktór posiadał rozległą wiedzę, dużo bowiem się uczył, a pomimo to w Cucugnanie, gdzie od dwu lat osiadł, nie miano żadnego zaufania do jego sztuki.

— Nasz lekarz nic nie umie, absolutnie nic. Od rana do wieczora i od wieczora do rana czyta. Jeżeli czyta, to dowód, że nic nie umie, jeżeli zaś nic nie umie, jest głupcem.

Tak filozofowali kukuniańczycy i nie mieli do niego żadnej ufności.

Lekarz bez chorych podobny jest do lampy bez oleju. A jednakże musi on zarobić na życie. Ten biedak nie zarobił nawet na wodę, którą pił.

Czas był, ażeby rzeczy się zmieniły. Pas doktora, który już zapinał na ostatnią dziurkę, był dla niego znowu za obszerny. Im bardżiej zaś brzuch mu burczał, tem gorliwiej rozmyślał on nad sposobem wydobycia się z fatalnego położenia.

Pewnego dnia ogłosił w całym Cucugnanie, że wiadomości jego są tak wielkie, tak potężne, iż jest on w stanie leczyć nietylko chorych wszelkiego rodzaju, co właściwie stanowi zabawkę dziecinną, ale nawet wskrzesić umarłych.

Nikt mu nie wierzył, niedowiarki jednak mówili sobie:

— Nic nie stracimy, jeżeli go wystawimy na próbę. Trzeba go zobaczyć przy robocie. Przecież wiele czytał. Pójdźmy! Dokona dzieła, damy mu poklask; jeżeli nie, obrzucimy go kamieniami; wtedy niech swojej sztuki wypróbuje na sobie samym.

Postanowiono tedy w niedzielę w południe zebrać się na cmentarzu, gdzie doktór wskrzesi jednego, lub — jeżeli tego będzie potrzeba — dwóch umarłych. Niektóre stare panny mówiły nawet o dziewięciu, lub dziesięciu młodych mężczyznach.

Jeszcze przed oznaczoną godziną cmentarz był pełny. Wreszcie ubrany w czarną togę doktór przecisnął się przez tłum.

Stanąwszy na podwyższeniu, pozdrowił obecnych, odkaszlnął, odchrząknął głośno i rzekł:

— Moi przyjaciele, obiecałem wam wskrzesić zmarłego.

Podnoszę rękę — proszę o spokój. Z równą łatwością mogę wskrzesić Jakóba, Jana, Nanonę, Babeau, Klaudjusza, lub Szymona. Czy chcecie, ażeby Szymon powstał? Szymon Cabanié ten, który przed rokiem umarł na złośliwy katar?

— Przepraszam pana czarodzieja — zawołała Katarzyna, młoda wdowa po Szymonie. Był to niewątpliwie dzielny człowiek, który mnie uszczęśliwił i którego opłakiwać będę, dopóki Pan Bóg pozostawi mi oczy w głowie. Ale nie wskrzeszaj go pan, gdyż przy końcu tego miesiąca wysoki Pascal chce mnie poślubić. Zapowiedzie już wyszły i podarki jako narzeczona już dostałam. Gdyby biedny Szymon to zobaczył, umarłby ze zgryzoty.

— Strzeż się czarodzieju — zawołał Jakób Lamell, podnosząc z groźbą kamień. Nanona była moją żoną. Przeżyliśmy z sobą dziesięć lat — dla mnie dziesięć lat czyśca — wie o tem cały Cucugnan. Niech ona dla mojego i swojego spokoju pozostanie tu, gdzie leży. Była gryzącą, jak pieprz hiszpański, upartą jak muł, a przytem próżną i brudną; była marnotrawną i miała zły język, prawdziwy język węża. I — ale nie mogę powiedzieć wszystkiego.

— Ależ mój przyjacielu, możnaby przecie.

— Ostrzegam cię panie czarodzieju — grzmiał Jakób.

Doktor gładząc długą brodę, mrugnął na Jakóba znacząco i znowu podniósł głos:

— Jak uważacie, gdyby powstał majster Piotr?

— Myślisz pan Piotra z Wielkich Miar? zapytał Feliks Piąstek.

— Tak, był to dzielny człowiek. Bardzo dzielny człowiek, niech mu Bóg da wieczny odpoczynek. Ale nie wskrzeszaj go, bo serce pękłoby mu z boleści na widok kłótni panującej między rodzeństwem, a on lubił spokój ponad wszystko.

— Nie należy go więc wskrzeszać?

— O nie, nie — rzekł Piąstek z pospiechem. Gdyby żył, musielibyśmy biednemu starcowi płacić pensję miesięczną — byłoby to zupełnie sprawiedliwem. Lata wszakże są złe, panie czarodzieju. Wiecie, że jedwabniki nic nie robią, albo zdychają. Krzewy winne chore, zboża sprzedać nie można. Oliwki zrobaczały, deszczów nie ma.

— W takim razie nie ruszajmy biednego Piotra. Ależ powiedzcie, kogo mam wskrzesić?

— Moją Gutonę, dajcie mi moją Gutonę — prosiła stara kobieta ze łzami.

Czarodziej udał, że nic nie słyszy i spuścił zamyślony oczy. Już powstał szmer pomiędzy obecnymi, gdy jakaś dziewczyna zawołała żywo:

— Zostaw ją w spokoju, panie doktorze. Piękna ta dziewica dobrze uczyniła, umierając. Zwierzyła mi się ze wszystkiego, a gdy umarła, ubraliśmy ją w białą sukienkę ślubną i wianek mirtowy. Moja biedna przyjaciółka wyglądała, jak oblubienica. Pozostań w ziemi moja droga, bo ten, którego kochałaś, połączył się z inną.

Poczciwy doktór otarł łzę z oczu i rzekł:

— Wieczny odpoczynek!

Oczy obecnych również zwilgotniały.

— Cóż mam na to odrzec? Jeżeli tak jest, obejrzyjmy się za kim innym. Patrzcie, tu stoi krzyżyk drewniany, pokryty trawą i kwiatami, które jak gdyby chciały zasłonić jego czarną barwę. Spoczywa tu niemowlę, które liczyło zaledwie dziewięć miesięcy. Rzeczywiście byłoby grzechem budzić je ze snu, jest ono tak szczęśliwe, że już nie żyje w tym samolubnym świecie, gdzie trzeba słuchać, co wy o mnie mówicie, moi przyjaciele. Lecz dosyć na dziś! Ponieważ nie chcieliście, ażebym dokonał dzieła, zrobię to kiedyindziej, nie wskrzeszając umarłych, ale przeszkadzając wam umrzeć.

Ukłonił się grzecznie i odszedł.

Od tego dnia leczył on ludzi w Cucugnanie i wszyscy mieli zaufanie do niego. Umarłych pozostawiał w spokoju, ale niejednemu uratował życie.

Na tem kończy się opowieść, a jak widzicie — kończy się dobrze.

Nadesłane.

Hotel Krakowski w Jaśle, będący własnością p. *Jana Chrapińskiego*, jest urządzony z wszelkiemi wygodami, elegancko, czysto i przyjemnie, ze skrzętną i chętną usługą. W hotelu tym znajduje się doskonała restauracja, która prowadzoną jest przez samego właściciela. Ceny bardzo umiarkowane, tak za pokoje w hotelu, jak i w restauracji.
(5641-6-2).

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.